

Nepal - Himalaje - 2005 - Idea Fix i co dalej?

Odcinek 1.

Spektakularny przylot do Nepalu, Kathmandu, Lukla, Monjo, Everest.

Wyprawa do Nepalu i trekking w Himalajach zapisały się w moim sercu pięknymi widokami i niezapomnianymi wrażeniami. Ale zanim zobaczę takie jak ten i inne widoki, wydarzy się kilka bardzo ważnych rzeczy. O nich będzie ta opowieść. Będę ją przeplatać nepalskimi zdjęciami, żeby było też na co popatrzeć.



Od kilku lat marzyłam, by na żywo zobaczyć Everest (8848m). Zbliżyć się do tej góry, na ile jest to dla mnie możliwe. Była potężna i niedostępna, dostojna, sroga i nieprzewidywalna. Oglądałam w mediach i czytałam wszystko, co na jej temat wpadło mi w ręce. Jak takie marzenie zrealizować? O wspinaczce nie mam pojęcia, a na myśl o wędrówkach pod górę już bolały mnie nogi. Postanowiłam jednak znaleźć jakiś dobry i bezpieczny sposób, by się do Everestu zbliżyć. Bo skoro innym się udaje, to dlaczego miałoby nie udać się mnie?

Rozpoczęłam intensywne poszukiwania w necie i surfowałam po stronach polskich himalaistów. Może organizują takie wyprawy?

Znalazłam stronę Łukasza Walla, wielkiego podróżnika z Wrocławia. Wybierał się w sierpniu do Tybetu, Chin i Nepalu. Jego grupa miała poruszać się po trasach komfortowo, bo jeepami. To było dla mnie idealne rozwiązanie. Ale gdy wczytałam się w program, okazało się, że Everest był ujęty w planie tylko na kilka godzin i to pod koniec wyprawy. Priorytetem były klasztory, świątynie, zabytki kultury oraz jeziora, rzeki, wodospady. Program bardzo ciekawy, choć niezbyt bliski moim oczekiwaniom. W związku z brakiem alternatywy postanowiłam pojechać. Kilka

godzin spędzonych z Everestem mi wystarczy:) Od razu zadzwoniłam do Łukasza, zgłosiłam udział i wpłaciłam pierwszą ratę.
Marzenia jak ptaki szybują po niebie.



Równolegle do sierpniowego wyjazdu z Łukaszem jeden z kolegów zdobył dla mnie kontakt do Mariusza Deca, krakowskiego przewodnika wypraw trekkingowych. On zna Nepal jak własną kieszeń i w listopadzie organizował wyjazd w samo serce himalajskich 8-tysięczników: Everestu, Makalu, Lhotse i Cho Oyu. Miałabym przemierzać te szlaki butami? To dla mnie raczej niemożliwe! Uznałam jednak, że program Mariusza, choć o wiele trudniejszy, bliższy jest moim preferencjom, a zobaczenie Mojej Góry zasługuje na największe poświęcenia. Łukasz Wall był tego samego zdania.

Zadzwoniłam do Mariusza. Znalazło się dla mnie miejsce. Tak więc pożegnałam się z Łukaszem i życzyłam jego wyprawie powodzenia pod każdym względem.

Z dnia na dzień temat mojego jesiennego wyjazdu nabierał kolorów tęczy...

Rozpoczęłam przygotowania do największej przygody życia i równolegle towarzyszyłam wirtualnie wyprawie Łukasza. Serce zabiło mi mocno, gdy pewnego ranka napisał sms, że za kilka godzin staną oko w oko z Everestem. To była niesamowita wiadomość i świąteczny dla mnie dzień. Oczyma wyobraźni byłam razem z nimi gdzieś tam w Tybecie.

Łukasz do dzisiejszego dnia jest moim globtroterskim autorytetem i mamy sympatyczne relacje. Kiedy wrócił do Polski, podarował mi płytę CD ze zdjęciami oraz ciekawą tybetańską muzyką. Warto też wspomnieć o czymś, co nie zawsze zdarza się w przypadku przewodników. Jeszcze przed wylotem do Tybetu Łukasz zwrócił mi pieniądze z pierwszej raty. Był to z jego strony miły i gentelmański gest. Pożyczył mi także wór na duży plecak. Zakłada się go, żeby chronić plecak przed deszczem, śniegiem, błotem, wilgocią i uszkodzeniami podczas trekkingu.

Berberys dla Łukasza :)



Na spotkaniu organizacyjnym mojej nepalskiej grupy Mariusz przedstawił całą trasę wraz z mapkami i warunki, w jakich będzie odbywał się trekking.

Pozostawała kwestia szlifowania kondycji i zakupu sprzętu: solidnych butów na kamieniste trawersy, ciepłej odzieży, puchowego śpiwora na co najmniej -10°C , dużego plecaka (mały miałam), przeciwwiatrowej kurtki, latarki czołówki i innych niezbędnych przedmiotów oraz lekarstw.

Plan był taki: grupa spotyka się na lotnisku Okęcie w Warszawie, stamtąd lecimy do Wiednia i z Wiednia do Kathmandu. Poprosiłam Mariusza o bilet do Wiednia nie z Warszawy a z Krakowa. Było mi dogodniej lecieć do Austrii z Balic i nie traciłam dnia na dojazd i nocleg w stolicy. Jak się wkrótce okazało, wybór lotniska startowego pociągnął nieprzyjemne dla mnie skutki.

Wyprawa 3 - 25 listopada 2005.

Z dwoma (duży i mały) plecakami niepodważalnego optymizmu pojawiłam się o 5 rano na krakowskim lotnisku. Balice zafundowały mi nie lada niespodziankę. **MÓJ LOT DO WIEDNIA** został z przyczyn technicznych **ODWOŁANY!!!**

Nie mam się czym dostać do Austrii, a kolejny samolot z Wiednia do Kathmandu odlatuje dopiero za tydzień!

Byłam tak zaskoczona, że aż zabrakło w moim umyśle miejsca na stres. Jak to? Ja dzisiaj do Wiednia i do Nepalu nie polecę?

Proponowałam pani z obsługi szalone rozwiązania z helikopterem włącznie, była jednak nieczuła na te propozycje i chciała mi zwrócić pieniądze za bilet. Wtedy cała moja wyprawa wzięłaby w łeb.

W końcu widząc moją determinację, po dokładnej analizie wszelkich możliwych połączeń, zaproponowała mi lot do Kathmandu okrężną drogą: poprzez śląskie, potem niemieckie, a następnie indyjskie lotnisko. Wybór był jeden - lecieć.

Ze strachem na ramieniu, bo to było dla mnie trudne i nowe doświadczenie, czy sobie z tymi lotniskami poradzę, zostałam zapakowana do taksówki LOT-u i zawieziona do Katowic-Pyrzowic. A potem pofrunęłam do Nepalu taką drogą: **Kraków - Katowice - Frankfurt - Delhi - Kathmandu**.

W Pyrzowicach na niemieckie połączenie czekałam 6 godz., w Monachium 4 godz., a najdłużej dogorywałam w Delhi, bo na lot czekałam 7 godzin.

W każdym razie zamiast poświęcić jeden dzień na Warszawę i lecieć z całą grupą do Wiednia, a stamtąd od razu do Kathmandu i być tam tego samego dnia o 16.30, spędziłam na oczekiwaniach i w samolotach łącznie 28 godzin i ledwo żywa, spóźniona o jeden dzień wylądowałam w końcu w Nepalu.

Wniosek: jeśli się chce realizować marzenia w dalekim świecie, trzeba uwzględnić nocleg w Warszawie. I potem już zawsze tak robiłam.

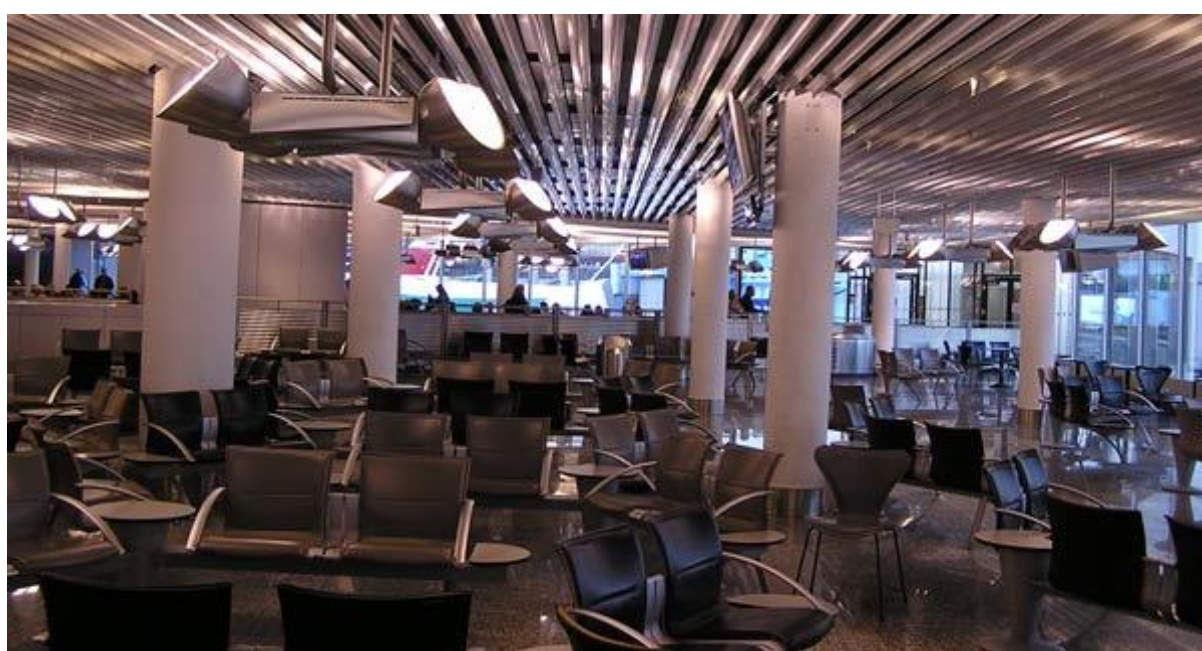
Lotnisko w Pyrzowicach.



Z Katowic do Frankfurtu.



Frankfurt ma ogromne lotnisko, jest jak małe miasto. Jeździ się po nim metrem na 2 kondygnacjach. Bardzo łatwo się pogubić, ale na pociechę miałam swoje australijskie sposoby i jakoś udało mi się znaleźć właściwy, jeden z kilkudziesięciu wszystkich gejtów.



Jeszcze o świcie, zanim wyjechałam taksówką LOT-u z Krakowa do Katowic, utrzymywałam łączność komórkową z Mariuszem. Potem musiał wyłączyć telefon, bo siedział już w warszawskim samolocie. Umówiliśmy się, że grupa będzie na mnie czekać w Nepalu. Całe szczęście, że w Kathmandu mieliśmy jeden dzień luzu przeznaczony na aklimatyzację, a trekking zaczynał się w drugim dniu. Ten czas mogłam przeznaczyć na dołot. Wprawdzie nie znałam nazwy hotelu, gdzie grupa się zatrzyma, ale ufałam, że wszystko ułoży się dobrze, bo telefony działają.

Przecież musiało być tak, że się spotkamy. Teraz z Frankfurtu do Delhi tym samolotem.



Ależ miałam cykora. I nie chodziło o te loty, ale czy poradzę sobie bez znajomości angielskiego i czy nie spotka mnie coś nieprzewidzianego. Wyobrażnia pracowała na pełnych obrotach. Najbardziej męczące było oczekiwanie w Indiach na lotnisku w Delhi. Pod powiekami czułam piasek, a nie mogłam zmrużyć oczu, bo cały wyprawowy majątek miałam obok siebie, zaś chętnych na mój bagaż w tym biednym kraju było zapewne wielu. Zmęczenie spowodowane szukaniem właściwych punktów odpraw, dogadywaniem się z obsługą oraz czekaniem, dokuczało mi

okropnie. Byłam jednak coraz bliżej celu i ta myśl pozwalała ten czas przetrwać.
W Delhi.



Za 7 godz. ta pani sprawdzi moją kartę pokładową i wsiadę w ostatni tej tułaczki samolot.



Że też mi się w głowie nie zakręciło od tego fruwania. Lot potrwa 1,5 godziny.



Lotnisko w Kathmandu.



Kiedy zobaczyłam oczekujących na mnie Mariusza i jego nepalskiego asystenta, Hirana, mimo że staniałam się z nóg, byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie. Nie wiem, czy zdecydowałabym się na ten odważny lotniczy krok, gdyby nie fakt, że już kiedyś, będąc w Australii, leciałam na drugi koniec jej kontynentu. Wtedy też byłam postawiona przed podobnym „odlotowym murem”. Nareszcie byłam wśród swoich. Powróciło poczucie bezpieczeństwa. Mariusz i Hiran założyli mi na szyję powitalny kwiatowy laur i pojechaliśmy do hotelu, do naszej grupy, którą teraz dopiero miałam poznać. Odetchnęłam z ulgą.

Z Hiranem na lotnisku w Kathmandu.



W hotelu zawiadomiłam bliskich, że dotarłam do Nepalu, a potem Mariusz przykazał mi przespać się do kolacji, na której poznałam współtowarzyszy, byli ciekawi mojej podniebnej przygody.

A propos w temacie tułaczki: LOT łaskawie potraktował potem moje podanie i wypłacił mi rekompensatę 78 zł za napoje i posiłki w drodze. Stres nie był wzięty pod uwagę.

Wieczorem zjedliśmy, co kto sobie wybrał i ustaliliśmy porządek następnego dnia. To część osób z mojej grupy. Na trasie przekonam się, że chłopaki są silni i bardzo wysportowani.



Pierwsza spokojna noc na wyprawie.



Rankiem zdążyłam zrobić rekonesans po ożywionym centrum Kathmandu. Wiele codziennych czynności odbywa się tu na ulicach. Mieszkańcy tworzą barwną i różnorodną społeczność, w której tradycyjny sposób życia przeplata się z nowoczesnością. Można spotkać ludzi w zachodnich ubraniach, wielu turystów, a obok siebie żyją wyznawcy hinduizmu i buddyzmu.



Właściciel motorikszy zachęca do przejażdżki po mieście.



Przed południem spakowaliśmy plecaki na dach busa. Jedziemy na miejscowe lotnisko. Stamtąd mamy przelot do Lukli.



Tym małym samolotem polecimy. Pomieści kilkanaście osób. Na niebie wszystko w nim kleszcze. Koledzy żartują: „Bez śrubokręta lepiej nie wsiadać”.



Z Kathmandu (1355 m n.p.m) polecimy do Lukli około 1 godz. i będzie to pierwsza okazja, żeby z góry podziwiać Himalaje.

W środku kameralnie - człowiek ma wrażenie, że siedzi obok pilotów.



Dolecieliśmy.

Z Lukli (2850 m n.p.m) rozpościera się obszar wysokich szczytów. To do Lukli trzeba dotrzeć, by dalej iść w góry. Jest jedynym w Nepalu wyjściowym punktem dla wszystkich wypraw trekkingowych i alpinistycznych.

To jedno z najniebezpieczniejszych lotnisk świata z krótkim, kilkusetmetrowym pasem startowym. Strach patrzeć, jak ten kawałek asfaltu urywa się nad przepaścią.





Nasz hostel. Są tu łóżka z cienkim materacem, bez pościeli, ale mamy puchowe śpiwory. Noce w górach są chłodne.



Zostawiamy manele na świetlicy i idziemy na 2-godzinny rekonesans po okolicy. Jutro rozpoczynamy trekking, to trzeba trochę zaprawić się w tych górach. Mój jest plecak w worze w kratkę, najlżejszy ze wszystkich, ma ok. 15 kg.



Lukla - brama do Himalajów - osada ma kamieniste uliczki i proste domy. Życie toczy się tu spokojnie, choć przewija się wielu trekkerów zmierzających w stronę Everestu. Nie ma tu samochodów - większość towarów dostarcza się samolotami, a potem transportuje dalej na plecach tragarzy i jucznych zwierząt.



Mijam krawców przy maszynach do szycia. Nie potrzebują zakładów - wystarczy im kawałek miejsca. Ten widok pokazuje życie tak różne od tego w Europie.



Na prowincji dzieci nie mają zabawek, to bawi się taśmą magnetofonową. Kawałek plastiku wystarczy, by stał się zabawką. Dziecięca wyobraźnia nie zna granic.



Warzywa najlepiej wysuszyć na blaszanym dachu, który dobrze się rozgrzeje przez słońce.



Po przespanej w Lukli nocy rankiem zaczynamy 15-dniowy trekking.

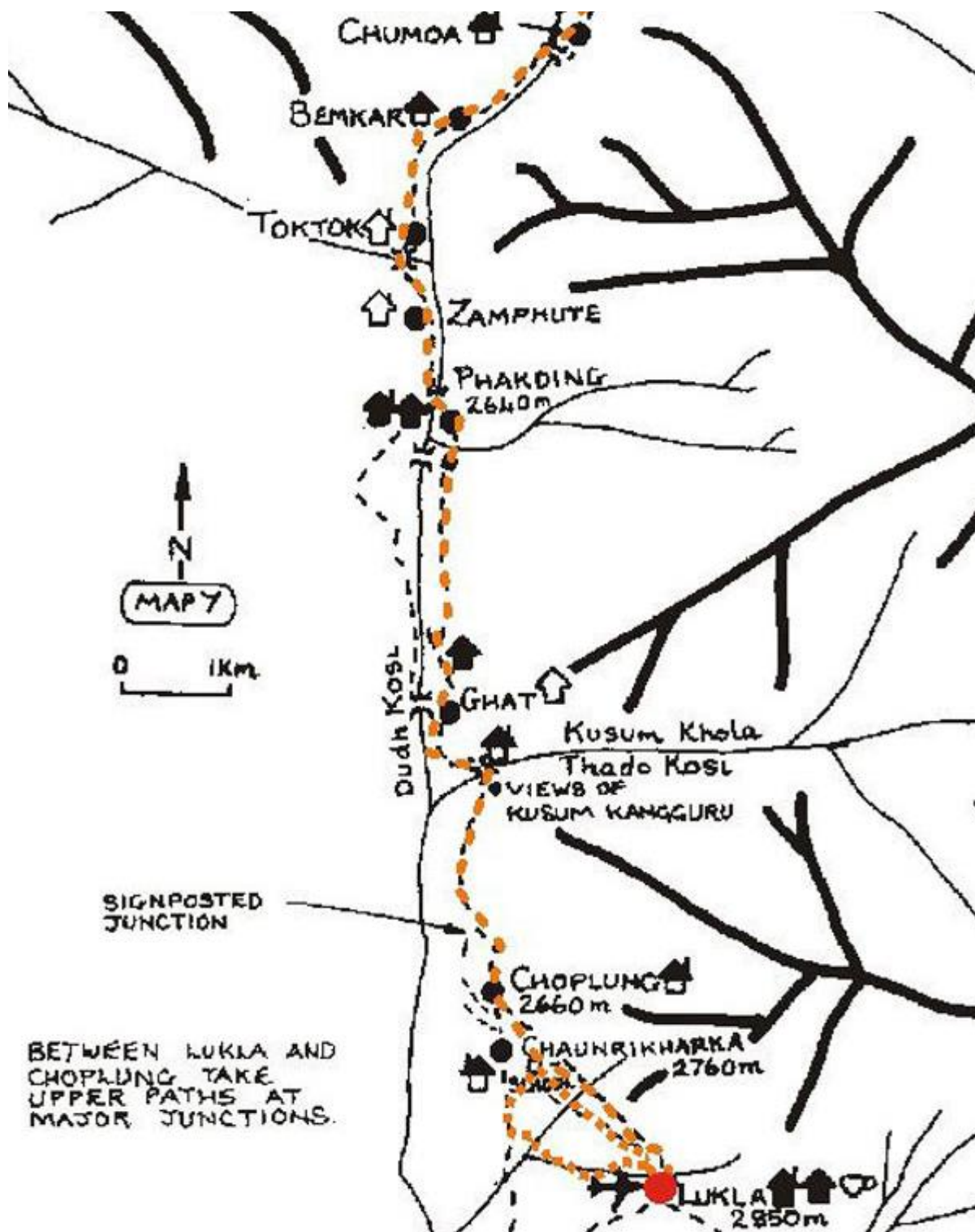
Pierwszym docelowym punktem na mapie jest [Monjo](#).

Z Mariuszem uzgodniliśmy, że ta część grupy, która nie czuje się na siłach, by dźwigać swój wielki plecak, powierzy go szerpie. To dla niego często jedyna praca zarobkowa. Tak więc kilku kolegów poniesie swoje toboły samodzielnie, a reszta będzie miała przy sobie tylko podręczne plecaki na butelkę wody, aparat foto i potrzebne na trasie rzeczy.

Wyruszamy z [Lukli do Monjo](#). Marszu mamy 6-7 godzin. Zazwyczaj każdego dnia będziemy startować około godz. 8 po śniadaniu i docierać do celu ok. godz. 15-16. Dziś mamy do pokonania ok. 13 km.



Nasza trasa Lukla - Monjo.



Szlak raz wznosi się, to znów opada. Pierwsze 6-tysięczniki widzimy już teraz, a na Everest należy jeszcze poczekać. Przechodzimy wzdłuż rwących potoków lub po linowych mostach zawieszonych nad rzekami i ozdobionych modlitwymi chorągiewkami.

W [Monjo](#) (2815) zostajemy na nocleg i po posiłku (jajka - sadzone, jajecznica lub omlet oraz herbata z cytryną i imbirem) wyruszamy w dalszą drogę. Kierujemy się do Parku Sagarmatha. Nie ma innej drogi - chcąc iść w kierunku Everestu, trzeba dotrzeć do Sagarmatha i punkt kontroli w Jorsale.

W pomarańczowo-czarnym polarze Mariusz-boss, w czerwonej kurtce Bartek i obok niego w czarnym polarze Daniel.



Byliśmy w Himalajach ponad dwa tygodnie. Każdy miał od Mariusza mapki na poszczególne dni z wytyczoną trasą. Były na nich zaznaczone nazwy geograficzne, ważne odcinki szlaku oraz wysokości, na których się akurat znajdowaliśmy.



Tyle bagaży potrafi unieść szarpa, około 25 kg.



Jesteśmy w [Monjo](#) i Narodowym Parku Sagarmatha z 6-7-tysiecznymi szczytami. Aby wejść na jego teren, trzeba wykupić pozwolenie od władz nepalskich za 15\$. Cały szlak, którym szliśmy do tego miejsca z Lukli, jest najpopularniejszą drogą pod Everest. Tędy podążają codziennie setki trekkerów i wielu himalaistów. Obszar tego ogromnego parku jest monitorowany przez wojsko.





Tak wygląda wejście w Himalaje. Po raz pierwszy widzę tu skały pokryte napisami. Są to modlitwy i mantry. Wyglądają niezwykle, całe powierzchnie pokrywają niezrozumiałe ciągi wyrazów. To znak, że wkraczam w świat innej kultury i religii. Te modlitwy np. „Om Mani Padme Hum”, to jedna z najważniejszych mantr tłumaczona „O klejnocie w lotosie”. Towarzyszyły mi też później na wielu odcinkach tego himalajskiego szlaku.

Tu - akurat jak rzadko na końcu - idzie nasz Janusz, a przed nim objuczeni, ale nie naszymi plecakami szerpowie.

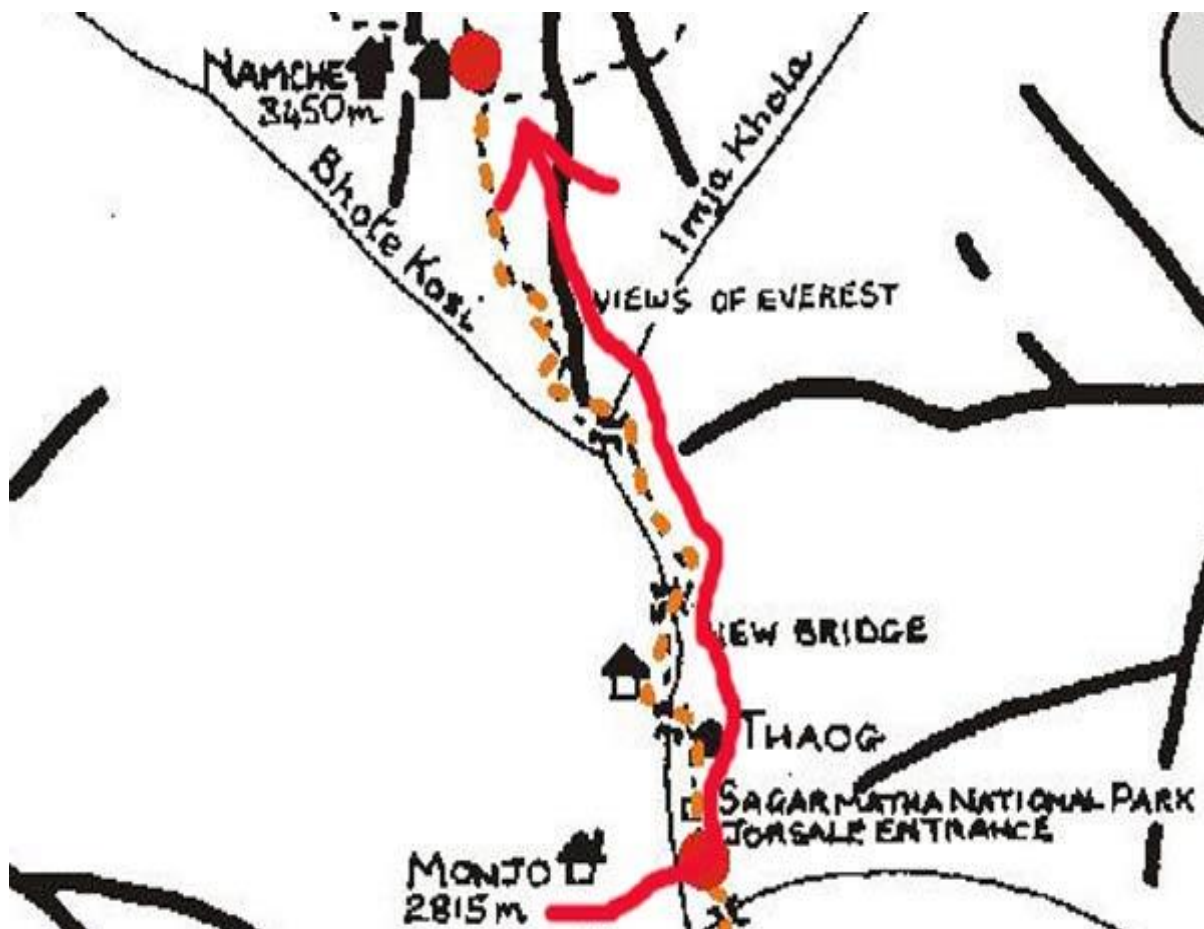


Będzie okazja, abym Ci pokazała buzie grupowiczów, a tymczasem łapię ich w mój obiektyw w niepozowanych sytuacjach.

Tu Mariusz tłumaczy coś dziewczynom, a przysłuchuje się temu Grzegorz.



Drugiego dnia idziemy z Monjo (2815) do Namche Bazar (3450).



W trakcie odpoczynku. Ciuchy i buty mam odpowiednie, ale przyznam, że nie jest lekko.



Nepalskie bytło - czyli np. jaki - mijamy cały czas lub one nas mijają. Na takiej szerokiej jak poniższa drodze krzywdy nie robią, ale na wąskiej ścieżce należy mieć się na baczności, bo mogą chcieć udowodnić, kto w tych górach jest panem sytuacji. Dzwonki, które mają zawieszone u szyi, są oprócz ptactwa muzyką na całym szlaku.





Każdego dnia wyruszaliśmy po śniadaniu i wędrowaliśmy około 7 godz. Wprawdzie Mariusz i jego asystent Hiran pocieszali, że trasa jest kilkugodzinna, ale wkrótce przekonaliśmy się, że trzeba jeszcze brać pod uwagę tzw. „współczynnik Deca” i doliczać nawiązkę. Byliśmy jednak pełni energii i entuzjazmu. W głębi duszy czułam zew tej wspaniałej, choć trudnej przygody. Imponująca była kondycja kilku kolegów. Choć lojalnie starali się maszerować z resztą grupy, widać było, że aż wyrwają się do przodu - i to mimo dźwigania swoich ciężkich plecaków.



Życzliwy i mądry doświadczeniem Mariusz Dec i Hiran, nasi opiekunowie. Dobry przewodnik na trudnej trasie to skarb.



Pomocne były kijki. Wtedy napięcie mięśni inaczej się rozkłada i łatwiej iść. Nie wszyscy je mieli, więc szerpowie zaopatrzyli nas w solidne drewniane kijki. Droga miała czasem kilkusetmetrowe przewieszenia, a podpierając się kijem łatwiej było poradzić sobie ze stromymi podejściami.



Mijaliśmy małe osady i widziałam, w jakich prymitywnych warunkach żyją w nich ludzie. Woda z potoku, drewniane chatynki na wzgórzach, a prąd jeśli w ogóle był, to z generatora. Ale oni żyją tu od zawsze i mają swoje powody do szczęścia.



Himalaje akceptują tubylców i żyją z nimi w symbiozie. Nepalczycy zahartowali się tu tak bardzo, że kiedy my mieliśmy na sobie puchowe kurtki i trekkingowe buty, oni jedynie cienkie koszulki i sandały.

Pranie odbywa się często w zimnej wodzie. Kobiety używają mydeł w kostkach, moczą ubrania, a potem z siłą uderzają nimi o kamienie, aby „wybić” brud.





W takim surowym klimacie kąpiel dzieci odbywa się na świeżym powietrzu, ale matki wybierają do tego słoneczne i bezwietrzne dni. Cały proces przebiega sprawnie, by nie dopuścić do wyziębienia organizmu. Na koniec maluchy są mocno natłuszczane olejkami, które chronią ich delikatną skórę przed mrozem i suchym górskim powietrzem.



Wygódka nad przepaścią.



I tak szliśmy godzina za godziną, zatrzymując się co jakiś czas, aby przysiąść na kamieniu i podziwiać górskie krajobrazy lub przyglądać się w wioskach ludzkiej codzienności.





Pierwszy raz zobaczyłam Everest w odległości ok. 10 km od tego szczytu, 3-go dnia. Było to na drodze do Namche Bazar. Skrywał się między świerkami, cały w słońcu. Znałam wcześniej na pamięć prawie każdą jego grań. Serce zabiło mi mocno. Na ten moment czekałam tyle lat! Co wtedy czuje człowiek? Nie da się ująć w słowa tej euforii, która rozpiera duszę. Nagle okazuje się, że to, co było tylko w sferze mojej przefantazjowanej wyobraźni, stało się faktem. Piękne uczucie. To taka Jesteś - powiedziałam do Mojej Góry.

Zatrzymał się dla mnie czas. Gdyby w pobliżu było jakieś schronisko, nie wiem, czy poszłabym dalej:) Chciałabym tu zostać bardzo długo...



Jeszcze w Polsce postanowiłam, że jak zobaczę Everest, uklękne i podziękuję Bogu, że pomógł mi tu dotrzeć. Że mimo braku niektórych umiejętności doszłam do tego miejsca. Ale teraz nie uklękłam, pokonały mnie konwenanse. Wstydziłam się, że mam się tak może dziecinnie zachować. Choć teraz uważam, że każdy z towarzyszy zrozumiałby ten mój odruch.



Ruszyliśmy w dalszą drogę. Mariusz pocieszał mnie, że jeszcze nieraz Everest będzie nam towarzyszył i wynurzał się wśród innych okalających go szczytów. Była to dla mnie wspaniała wiadomość, bo postanowiłam w jeszcze bardziej wyjątkowym miejscu podziękować Panu Bogu.

A tymczasem przed nami rozciągały się kolejne kilometry - do [Namche Bazar](#).

Do zobaczenia w kolejnym odcinku.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Renata Bednarz - Zielona Gałązka

www.renatabednarz.pl

